

PARK IM. JANA BIELI

Jan Biela – urodzony 3 lipca 1934 roku w świętokrzyskiej wsi Michniów. Jako dziewięcioletni chłopiec w dniach 12 i 13 lipca 1943 roku był świadkiem pacyfikacji swej rodzinnej wioski.

Michniów to malownicza wieś położona w Górach Świętokrzyskich, która jest jedną z ponad stu wsi w Polsce, gdzie dokonano pacyfikacji.

Jan Biela swoje przeżycia tamtych lipcowych dni opisał w swoich wspomnieniach pt. *Michniowska Golgota – wspomnienia widziane oczami dziecka*:

„Piekło według niektórych religii, a katolickiej szczególnie, to miejsce czasowej lub wiecznej kary, na którą skazane są dusze zmarłych grzeszników, siedziba złych duchów i dusz potępionych. Nie bardzo możemy je sobie wyobrazić, lecz w literaturze i malarstwie przedstawiane jest najczęściej jako wieczna kara i męka w płomieniach. Takie właśnie piekło na michniowskiej ziemi zgotowali mieszkańcom tej wioski w dniach 12 i 13 lipca 1943 roku hitlerowscy oprawcy. W płomieniach płonących stodoł palili niewinne dzieci, kobiety, mężczyzn w sile wieku i starców. Dzień 11 lipca 1943 roku – niedziela, dzień odpoczynku. Mama krząta się w kuchni, tata wyprowadza z obórki krowę na łąkę. Wszyscy „odświętnie” ubrani. Wychodzimy z domu do kościoła w sąsiednim Wzdole. Po drodze, jak zawsze biegniemy z bratem na wzgórek, by w kapliczce Świętej Barbary odmówić krótki paciorek. Po obiedzie z bratem i kolegami gra w guziki. Po południu wyruszamy w odwiedzinach do dziadków Krogulców. Wieczorem, skrajem lasu wracamy do domu. Dzień był upalny. Lipcowe promienie słońca padały na skoszone łąki, las i pola pokryte łanami dojrzewających zbóż i kwitnącym złocią lubinem.

Przecudna to była niedziela. Niezapomniany zapach suszonego siana, orzeźwiająca woń leśnej żywicy, oraz lekki chłód od strony płynącego wzdłuż łąk strumyka biorącego swój początek ze źródła u podnóża drewnianej kapliczki Św. Jana, utkwiły w mej pamięci po dzień dzisiejszy

Opisana niedziela wydawałoby się minęła podobnie jak każda z poprzednich - a jednak?

Był ktoś z mieszkańców Michniowa, który widział tego dnia po południu samochód osobowy z oficerami niemieckiej żandarmerii, którzy obejrzelni wieś i jej otoczenie. Na rozłożonej na masce samochodu mapie robili jakieś notatki. Dzień 11 lipca chylił się ku zachodowi. Księżycowa, lipcowa noc zapadła nad michniowską doliną. W tę właśnie noc z 11 na 12 lipca Michniów został otoczony podwójnym pierścieniem niemieckich posterunków. Pierścień wewnętrzny uformowali w pobliżu zabudowań i na łąkach, zewnętrzny zaś na skraju lasu oraz na szczycie wzgórza leżącego po stronie zachodniej wsi. Najsilniej obwarowali wylot drogi od strony Suchedniowa. W tę stronę kierowała się większość michniowian do pracy w zakładach Suchedniowa i Skarżyska. Część mężczyzn i młodych kobiet wyruszała do pracy w lesie. Ludzie ci rankiem 12 lipca wyszli do pracy. Niestety! Hitlerowcy nie wypuścili z wioski nikogo. Zatrzymali wszystkich na skraju lasu, przeprowadzili dokładną rewizję osobistą, oraz sprawdzili dokumenty. Mężczyzn ułożyli na ziemi z rękoma założonymi na tył, a kobietom rozkazali siedzieć. Około godziny 9 tej silny oddział żandarmów wkroczył do wsi od strony Suchedniowa. Wysiedli z samochodów. Rozpoczęli przeczesywanie wioski w kierunku południowym. Wyciągali z domów większość napotkanych mężczyzn.



Strona północna – stąd nadjechały ciężarówki z żandarmami.

Wśród nich znalazł się również mój wujek Kazimierz Krogulec – najmłodszy 18-letni brat mojej mamy oraz stryjek – Józef Biela.

Hitlerowcy posiadali listę z nazwiskami konkretnych mężczyzn. Najczęściej wypytywali o Władysława Krogulca – brata Kazimierza, dlatego też, zawlekli tego drugiego do jednego z domów, rozebrali do naga, położyli na stole i polewając ciało wodą, pejciami („bykowcami”), bezlitośnie torturowali. Powtarzali wciąż te same pytania: Gdzie jest Władysław? Gdzie ukrywają się „bandyci”? Wujek nie wydał nikogo. Skatowanego, nieprzytomnego, wywlekli na skraj lasu, gdzie pilnowały go dwa psy.

Mógł uciec, lecz nie miał na to sił. Z tego miejsca przewieźli go do więzienia w Kielcach. Tu dalej poddawany był torturom i przesłuchaniom. Nie zdradził. Przyplacił to zsyłką do lagru w Oświęcimiu. Otrzymał nowe „nazwisko” – więzień Nr 131846. Był młodym i zdrowym młodzieńcem, więc przeżył i wrócił po wyzwoleniu w rodzinne strony.

Ranek 12 lipca powitał mego tatę grozą i przerażeniem. Oczom jego ukazały się niemieckie helmy, najpierw na wzgórzu od strony zachodniej, później w łąkach żółtego łubinu a następnie na małym pagórku pod lasem.

Ja ze swym bratem jeszcze smacznie spałem, kiedy to mama delikatnym dotykiem wybudziła nas ze snu. Pochylona nad nami cicho wyszeptała: „Jasiu, Dyziu, wstawajta – Niemcy otoczyły Michniów”. Otworzyliśmy rozespane oczy. Nie rozumieliśmy, co mama do nas mówi, o co jej chodzi – czy to żart? Niestety – słowa mamy okazały się być straszliwą prawdą.

Rodzice, stryjek Józef oraz ja z bratem zdaliśmy sobie z tego sprawę, że znaleźliśmy się w niemieckim potrzasku. Ani tata, ani stryjek, ani nikt inny nie miał żadnej szansy ucieczki. Mijały minuty a upływający czas, wydawał się być wiecznością. Tata i stryjek, aby odpędzić od siebie napływające do głowy straszliwe myśli, starali się czymś zająć. Zabrali ze sobą piłę i poszli piłować dość dużą, usychającą czereśnię, która rosła na małym wzniesieniu między domem a lasem. Mama w tym czasie wysłała mnie do dziadków, by się dowiedzieć co u nich się dzieje. Gdy dotarłem na miejsce, Kazika i jego młodszej siostry Weroniki w domu już nie było. Najstarszy z ich braci – Władysław siedział w tym czasie ukryty w zamaskowanym dole obok obory.

Żandarmi dokonując szczegółowej rewizji chodzili „po nim”, lecz nic nie wykryli. Nie wykryli również całego arsenału broni i amunicji zakopanej w skrzynkach pod podłogą stodoły, na której stała sieczkarnia i część urządzeń olejarni, na której produkowano olej z nasion lnu, słonecznika i maku.

Gdy przybiegłem do domu, stryjek obdziabywał jeszcze gałęzie ze ściętej czereśni. Rodziców i brata zastałem w domu. Prawie równocześnie ze mną, wkroczyli do naszego mieszkania żandarmi.

Rozkazali nam położyć się na podłodze z rękami założonymi na tył głowy. Sami w tym czasie rozpoczęli rewizję, poczynając od zaglądania pod łóżko, następnie zaczęli wyciągać z szafy charakterystyczne dla regionu świętokrzyskiego dywany, kilimy i zapaski.

Po skończonej rewizji rozłożyli na stole listę z nazwiskami i coś do siebie mówili. Jeden z żandarmów podszedł do drzwi wyjściowych, na których przyczepiona była kartka – spis mieszkańców. Mama odpowiadała na pytania – kto to jest Jan, Dionizy, Franciszka, Bolesław i Józef. Jeden z żołnierzy kazał pokazać tacie dłonie swych rąk – popatrzył na nie (były spracowane) i zdecydował pozostać mu w domu. W tym czasie kilku żandarmów zbliżyło się do stryjka. Jeden z nich wyrwał mu siekierę z rąk i nakazał iść w kierunku drogi – gościńca, gdzie stało już około 70 mężczyzn. Przechodząc obok domu, popatrzył w okna, uśmiechnął się i zrobił ręką znak krzyża. To było jego ostatnie z nami pożegnanie. Zebranych na drodze mężczyzn ustawili czwórkami i podzielili na cztery grupy. Jedną z nich skierowali do szopy Gilów, drugą do stodoły Dulęby Walentego, a trzecią do Grabińskich. Czwartą, ostatnią liczącą około dwudziestu mężczyzn przyprowadzili na nasze, wspólne z sąsiadem Wątrobińskim podwórkę.

Nie było w niej stryjka. Między godziną 10.00 a 11.00 weszło do naszego domu kilku żandarmów z mężczyzną w średnim wieku, urzędnikiem gminy Suchedniów. Nie znałem tego człowieka, ale dziś wiem, że był to niejaki Kaczmarczyk, wysiedleniec z poznańskiego, mieszkający u jakiejś rodziny w Michniowie. Nam kazano wyjść z domu. Po kilku minutach mężczyznę tego, popychając kolbami i klując bagnetami wyprowadzili przed dom. Jeden z żandarmów, narzędziem przypominającym mi tłuczek do mięsa z okrągłą końcówką pokrytą długimi ostrymi kolcami, uderzył mężczyznę w tył głowy. Ten zachwiał się a oprawca powtórzył cios. Do dziś pamiętam tę roztrzaskaną czaszkę wylewający się z niej mózg, strumienie krwi i drgające w konwulsjach ciało. Był to widok okropny. Po dokonaniu tego zabójstwa kazano nam ponownie wejść do mieszkania. Po chwili usłyszeliśmy, jak z zewnątrz zatrzasnęli drzwi. Byłem tak panicznie przerażony, że nawet nie mogłem płakać, jedynie z gardła wydobywał się jakiś dziwny, chrapliwy głos. Jednak to, co przeżyłem do tego czasu, było dopiero wstępem do tego, co wydarzyło się w kilka godzin później.

Przyprowadzoną przez żandarmów na nasze podwórko grupę mężczyzn ustawili w trzy rzędy. Kilku lepiej zbudowanym skazańcom kazali stanąć pod płotem naszego ogrodu. Pozostałych ułożyli twarzami do ziemi, z rękami założonymi na tył głowy. Dwa okna mojego domu skierowane były w stronę podwórka, dlatego dokładnie mogliśmy obserwować to, co na nim się działo. Z kilkunastoosobowej grupy żandarmów czterech z nich, podeszło do ściany domu sąsiada, wyciągnęli z plecaka dwie flaszki alkoholu, wypili go a następnie z uśmiechem na twarzach, przechodząc między rzędami leżących mężczyzn, strzelali do nich w tył głowy. Trwało to krótko – kilka, może kilkanaście minut. Nie wszystkich kule śmiertelnie trafiały. Wielu zostało postrzelonych. Ciała poczęły drgać i przeżyć się. Słyszałem krzyki i błagalne prośby do Boga, lecz nikt nie żebrał o litość.

Po dokonanej egzekucji, ustawionym pod płotem mężczyznom kazali wnosić ciała do stodoły, po czym przy użyciu karabinów wepchnęli 43 żywych do środka. Jeden z żandarmów zamknął wrota, drugi rzucił butelkę z benzyną i granat. Stodoła pokryta była słomą i papką, a dzień był upalny. Po krótkiej chwili buchnęły w niebo kłęby czarnego dymu i długie języki ognia.

Dał się słyszeć przeraźliwy krzyk, żywcem palonych ludzi. Nasz dom stał w bezpośrednim sąsiedztwie płonącej stodoły. Żar od niej buchał tak silny, że szyby w oknach poczęły pękać i z trzaskiem spadać na ziemię.

Mama co kilka chwil wybiegała po schodach na strych kontrolować, czy nie pali się dach. Błagałem rodziców, byśmy przez sionkę i małą obórkę przylegającą do domu wyszli na zewnątrz. Wolałem zginąć od kul niż spłonąć w płomieniach.

Wtedy to właśnie mama kazała nam uklęknąć. Na ścianach mieszkania wisiały duże obrazy z postaciami różnych świętych, lecz jeden z nich zapamiętałem najlepiej – obraz Matki Boskiej Częstochowskiej.

To do Niej, wszyscy razem i głośno zanosiliśmy modły – „Pod Twoją obronę ...” I cóż się stało???? – Stał się cud! Tak, Drogi Czytelniku – cud! Usłyszeliśmy otwierające się z trzaskiem drzwi. Do mieszkania wszedł żandarm. Zobaczył nas klęczących i modlących się. Łamaną polszczyzną przemówił: „Dzieciom gorąco” – i wskazał ręką na drzwi. Wszyscy wyszliśmy z domu. Usiadłem z bratem na ziemi pod płotem naszego ogrodu. Nagle, płomień z dopalającej się stodoły sąsiada przeniósł się na przylegającą do niej szopę, a następnie drewniany płot przy domu Wątrobińskich. Zauważyła to mama i bez namysłu zapytała żandarma - naszego wybawcę, czy można ugasić ten ogień. Wyraził zgodę. Mama, tata i jeszcze jakieś kobiety wylały kilka wiader wody na płonący płot. Nagle od strony lasu – „trupienia” padły w ich kierunku strzały. Wszyscy rzucili wiadra a mama pobiegła odszukać Niemca, z którym rozmawiała.

Jak odszukała i rozpoznała tego człowieka? Często zadawałem jej to pytanie, lecz nigdy nie potrafiła mi na nie odpowiedzieć.

Wróciła z nim na podwórko i wskazała ręką na strzelających przed chwilą żołnierzy. Podeszedł do nich, coś im powiedział. Strzały umilkły i kazał ugasić płot. Dom Wątrobińskich ocalał, lecz tylko na jeden dzień. Spłonął dnia następnego. Władysław Krogulec, autor książki pt. „Dziecko przez sen zapłacz” na stronie 19, w relacji mego brata Dionizego, opisuje ten fakt w zmienionej wersji. Trudno mi dziś powiedzieć dlaczego to zrobił.



Tak pamięta ten dzień autor wspomnień:

Wnuki i prawnuki mej mamy pamiętają to przeżycie z jej opowiadań tak, jak je opisałem. Jest ono prawdziwe. Do dziś nie wiem, jakie pobudki kierowały postępowaniem żandarma – litość, groza, strach czy też trochę ludzkich uczuć, odezwalo się w sercu i sumieniu tego człowieka?

Ucichły krzyki w stodole. Grube, płonące jeszcze krokwie z trzaskiem osuwały się w dół. Płomień stawał się coraz mniejszy, aż wreszcie wszystko umilkło. Zapanowała grobowa cisza, jedynie od czasu do czasu unosiły się jeszcze małe kłęby dymu. Pożar dobiegał końca a oczom naszym ukazał się okropny, przerażający widok. Tam gdzie było zapole, ujrzałem stos zwęglonych i zlepionych ze sobą dopalających się jeszcze ciał. Na klepisku widniało kilka zwęglonych, powyginanych w przedziwne kształty „kikutów” ludzkich – zapewne tych żywcem palonych. W całej michniowskiej dolinie unosił się dym i swąd spalonych ciał ludzkich.

Zapach to był nie do opisania – słodkawy – pogorzeliskowy. Przez kilkanaście powojennych lat nie mogłem znieść zapachu po wygasłym ognisku. Zbierało mnie na wymioty. Około godziny 16 – tej jeden z żandarmów wystrzelił w niebo kilka sygnalizacyjnych rakiet. Pacyfikacja dobiegała końca. Żandarmi małymi grupkami schodzili z pól. Gromadzili się przy samochodach na gościńcu. Ci pod lasem warowali na swych posterunkach. Nadjechało kilka ciężarowych samochodów, na które wpędzili najpierw 9 osób, wśród których był również mój wujek Kazimierz Krogulec oraz 18 dziewcząt zatrzymanych rankiem przy szosie na skraju lasu. Była wśród nich najmłodsza siostra mej mamy – Weronika.

Wszystkie one zostały wywiezione w głąb Rzeszy na przymusowe roboty. Około godziny 17.30 samochody odjechały w kierunku Suchedniowa.

Dnia 12 lipca 1943 roku hitlerowcy zamordowali i żywcem spalili 103 osoby, w tym 96 mężczyzn 2 kobiety i pięcioro dzieci, w wieku od 5–15 lat. Dwudziestu trzech mężczyzn zostało rozstrzelanych, a 73 spalonych.

Nad Michniowem zapanowała najpierw grobowa cisza a później dały się słyszeć krzyki i donośny płacz tych, co przeżyli. Na nasze podwórko przyszło kilkanaście osób. Były to przeważnie kobiety i dzieci – matki, siostry i żony pomordowanych. Usiłowały one odszukać ciała swych synów, mężów, braci i ojców. Nie było to jednak możliwe. Ciała zostały tak zdeformowane i spalone, że jedynie skrawki niedopalonej odzieży, lub jakieś osobiste przedmioty dawały gwarancję prawdziwej identyfikacji. W ten sposób odnaleźliśmy ciało stryjka Józefa. Nosił na palcu duży metalowy sygnet. Został spalony w stodole mej cioci Karoliny Dulęby. Duże, rozżarzone, gorące i dymiące wciąż jeszcze belki i ciała uniemożliwiały wejście na pogorzelisko.

Już 13 lipca późnym wieczorem, część odważniejszych ocalańców poszła na zgliszcza szukać ciał swych pomordowanych dzieci, sióstr, braci, matek i ojców. Na wiejskim placu w bezpośrednim sąsiedztwie byłych zabudowań mej cioci Grabińskiej – z domu Duda, wykopano dużą mogiłę. Tutaj znoszono szczątki swych bliskich. Znoszono je w wiadrach, skrzynkach, lnianych prześcieradłach – w czym kto mógł. Pogrzebano tam razem prochy 203 osób. Mama z tatą odnaleźli zwłoki stryjka Józefa. Dopiero na trzeci dzień po pacyfikacji wyszedłem z mamą i bratem z lasu. Oczom naszym ukazał się straszny widok – dymiące jeszcze pogorzeliska i sterczące kominy. Z naszego domu pozostał jedynie pochylony komin i resztki murowanej kuchni”

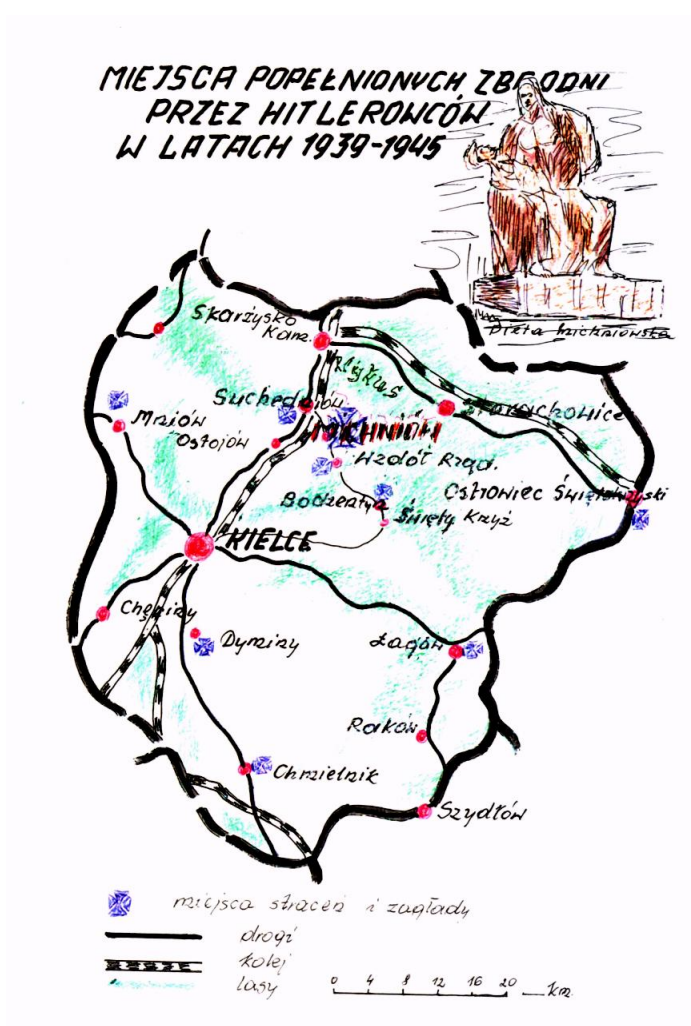
Jan Biela okresie okupacji doręczał sam oraz z matką Franciszką grypsy i tajne dokumenty żołnierzom Armii Krajowej.

W celu upamiętnienia tej straszliwej zbrodni w Michniowie od 1977 roku na terenie wsi znajduje się Mauzoleum Martyrologii Wsi Polskich w Michniowie. (www.michniow.pl)





Zdjęcia z rodzinnego albumu Jana Bieli



Rys. Jan Biela

W sierpniu 1945 roku Jan Biela opuścił Michniów wraz z rodziną, wyruszając na ziemie odzyskane.

Tak rozpoczęła się jego historia na terenie Krajenki i okolic. Zamieszkał wraz z mamą i bratem we wsi Sokolna. Rozpoczął naukę w złotowskim liceum ogólnokształcącym w klasie szóstej i uczył się w nim do matury.

Ukończył studia wyższe na Wydziale Biologii w Wyższej Szkole Pedagogicznej w Krakowie.

Pracę nauczyciela rozpoczął jako 17-letni chłopak w roku szkolnym 1950/1951 po ukończonym 5-miesięcznym kursie pedagogicznym w szkole podstawowej w Kleszczynie. Kolejno po odbyciu służby wojskowej w roku 1957 rozpoczął pracę nauczyciela/kierownika szkoły w Górznej. Jednakże to z Krajenką związał swoje życie, tu założył rodzinę, mieszkał i pracował.

Od roku szkolnego 1958/1959 był nauczycielem biologii i chemii (początkowo również wychowania fizycznego) w szkole podstawowej w Krajence. W latach 1970–1973 pracował również w liceum ogólnokształcącym w Złotowie.

W latach 1980–1986, na terenie szkoły, założył park z wieloma gatunkami roślin.

Poniżej wspomnienie Jana Bieli na temat powstania parku:

Od 1975 roku do 1980 teren wokół szkoły leżał ugorem.



*Widok
w kierunku ulicy
Bydgoskiej.*



Altana narzędziowa – zbudowana nieodpłatnie przez Zakład Drzewny w Krajence.

Na jednej z rad pedagogicznych ówczesny dyrektor szkoły Pan Stanisław Kosecki zaproponował mi zagospodarowanie trzy hektarowego terenu przekazanego przez Państwowe Gospodarstwo Rolne nowo wybudowanej szkole podstawowej przy ulicy Bydgoskiej w Krajence. Radość z otrzymanej darowizny mieszała się z dużym zaniepokojeniem dyrektora. Dlaczego? Otóż przeważająca część tego arealu pokryta była różnego rodzaju chwastami, dziko rosnącymi krzewami, a co najgorsze gruzem pochodzącym ze niszczonych w czasie II wojny światowej i po jej zakończeniu budynków. W różnych miejscach tego terenu leżały większe i mniejsze pryzmy odpadów. Piaszczysta, szóstej klasy gleba nie nadawała się pod uprawę, należało ją odpowiednio przygotować.

Długo zastanawiałem się nad tą propozycją. Zdawałem sobie z tego sprawę, że praca na tym zdewastowanym ugorze to praca wymagająca dużo czasu, olbrzymiego wysiłku fizycznego dzieci i młodzieży, odpowiedniego sprzętu i pieniędzy. By pracę wykonać miałem jedynie do dyspozycji ręce dzieci, kilkanaście grabi, motyk, szpadli oraz jeden dwukołowy wózek. Mimo tych wszystkich obaw i uprzedzeń podjąłem się wykonania tego zadania.

W latach siedemdziesiątych Ministerstwo Oświaty wprowadziło do programów nauczania w szkołach podstawowych i ogólnokształcących lekcje tzw. praktyk uczniowskich. Ten nowy przedmiot przydzielono do mej dyspozycji. Dyrekcja szkoły wystąpiła z wnioskiem do władz oświatowych w Złotowie i Kuratorium Oświaty w Pile o zezwolenie na podział klas na dwie grupy. Wniosek został rozpatrzony pozytywnie. W ten sposób mogłem zapewnić pracującej młodzieży większe bezpieczeństwo pracy i dobrze ją zorganizować.

Porządkowanie terenu i wysadzanie roślin tam gdzie to było możliwe odbywało się równocześnie.

W pracach tych pomagał nam miejscowy PGR (ciężki sprzęt do wydobywania i wywożenia gruzu i odpadów, wyrównywanie terenu, obornik, nawozy mineralne, beczkowozy z wodą do podlewania roślin, gdyż szkoła posiadała tylko jeden zewnętrzny punkt czerpania wody itp.) oraz Zakład Drzewny (materiały budowlane, próchniczna „tartaczna” gleba itp.).

Na wykonanie wszelkich prac na tak dużym terenie i zakup roślin potrzebne były pieniądze, „duże pieniądze”. W tej trudnej sytuacji zwróciłem się z prośbą o pomoc do różnych instytucji w naszym mieście. Ludzie zarządzający nimi okazali się być bardzo wyrozumiali i życzliwi – zrozumieli ideę sprawy.

Na pieniądzach jednak problem się nie kończył. Ja po studiach biologicznych nie miałem żadnego przygotowania praktycznego ani teoretycznego z zakresu zagospodarowywania terenów zieleni.

W związku z tym długo zastanawiałem się nad tym, jakie rośliny sprowadzać i jak je rozplanować na tak dużym terenie.

Z okien drugiego piętra budynku szkolnego obejmowałem wzrokiem cały ten plac i rozmyślałem. Wreszcie zrodził się projekt, który z małymi zmianami realizowałem przez sześć lat.

Po wielu moich rozważaniach doszedłem do wniosku, że pod uwagę należy wziąć pięć aspektów:

- *estetykę terenu,*
- *ochronę środowiska – dużo roślin chronionych,*
- *program nauczania biologii,*
- *wytyczyć alejki tak, aby mogły służyć do nauczania przepisów ruchu drogowego,*
- *wybrać teren pod las, boiska, skocznię a w przyszłości również lodowisko.*

Po rekultywacji przyszedł czas na zagospodarowanie terenu. Aby rozpocząć pracę potrzebny był do tego odpowiedni projekt. Właśnie – projekt. To pierwsza olbrzymia przeszkoda. Szkoła nie miała pieniędzy na to aby wykonał go projektant – architekt.

W tej ciężkiej sytuacji ja podjąłem się tego zadania. Nigdy wcześniej takiej pracy nie wykonywałem. Nie posiadałem deski kreślarskiej ani innych przyrządów, dysponowałem jedynie długopisem, ołówkiem, zeszytem formatu A4 i dwudziestometrową taśmą mierniczą. Z tym „bogatym sprzętem” i po uprzednim dokładnym zbadaniu terenu przystąpiłem do pracy. Szkoła od strony frontowej położona jest poniżej wyrównanego terenu, natomiast teren od strony północnej obniża się w kierunku rzeki Głomi, aż do jej koryta. Całą południową część placu przeznaczyłem na ogród szkolny – około 30 arów i park. Część południowo wschodnią na las północno zachodnią na bieżnię boiska i lodowisko.

Tak powstał prosty projekt, który przedstawiłem dyrekcji szkoły i nauczycielom. Został zaakceptowany.

W pierwszym roku prace rozpocząłem od wytyczenia głównych alejek i obiektów sportowych. Alejki obsadziłem wysokimi drzewami następująco:

Aleja nr 1 – sosna Weymoutha, sosna limba, lipa drobnolistna i szerokolistna (na przemian) oraz klon pospolity i klon jawor,

Aleja nr 2 – *klon jesionolistny, jarząb szwedzki i jarząb brekinia*,

Aleja nr 3₁ i 3₂ – *jodła biała*,

Aleja nr 4 – *robinia pseudoakacja*,

Aleja nr 5 – *żywotnik wschodni i zachodni*.

Od strony zachodniej wzdłuż bieżni – *klon jawor, klon pospolity i topola czarna* (co roku obcinana i przycinana nadając jej kształt sześcianu lub walca).

Od strony wschodniej na około 30 arach las – *las iglasty, liściasty i mieszany* (zgodnie z programem nauczania, odległość od szkoły do naturalnego lasu około 3 km).

W latach następnych to nasadzanie różnych roślin w miejscach powstałych po utworzeniu alejek: wzdłuż całej długości szkoły – *róża faldzistnolistna*, obok dużych płyt z godłem i herbem Krajenki – *świerk srebrzystolistny, wierzba płacząca i różne odmiany liliowca amerykańskiego*.

Wzdłuż krawężnika okalającego wybieg ze szkoły jest *żywoplot*, w skład którego wchodzi: *żylistek pośredni, suchodrzew Maacka, berberys Thumberga i pospolity, sumak octowiec oraz ligustr pospolity*.

Na skwerze obok szkoły: czteropręcikowy *jałowiec chiński, jaśminowiec wonny, złotokap zwyczajny, irga pozioma, irga pomarszczona, tamaryszek*, a obok na pergoli pnie się *wiciokrzew pomorski*. W głębi parku rosną: *kalina koralowa, czeremcha pospolita, brzoza brodawkowata, rokitnik pospolity, kruszyna pospolita, tawuła śliwolistna, tawuła Thumberga, tawuła białokwiatowa*. Dalej *sosna czarna*, a na małym skwerze *sosna kosodrzewina*. Wzdłuż drogi od mostu do szkoły *głóg dwuszyjkowy i półszlachetna jabłoń* (najbogatsze w parku siedlisko i lęgowisko ptaków).

Pozostałe miejsca parku obsadzone zostały takimi roślinami jak: *daglezja zielona, klon jesionolistny, modrzew europejski, budleja Dawida, deren właściwy, dąb czerwony, dąb szypułkowy, cis pospolity, różanecznik, machonia pospolita, forsycja pośrednia, azalia pontyjska, bez lilak, bukszpan drobnolistny, krzewuszką cudowną, oliwnik srebrzysty, pigwowiec właściwy, cyprysik x, jałowiec pospolity, jałowiec wirginijski, morwa biała, morwa czarna, wierzba iwa, bez czarny*.

Dwie aleje prowadzące ze szkoły do ulicy Bydgoskiej obsadzono *żywoplotem z karagany podolskiej i czeremchą pospolitą*.

Teren przeznaczony na las podzielilem na trzy części: jedną z nich obsadzono drzewami iglastymi (*sosna pospolita i świerk pospolity*), drugą liściastymi (*dąb bezszypułkowy, brzoza*

brodawkowata, buk pospolity i grab pospolity), trzecią mieszaniną gatunków drzew iglastych i liściastych.

Przez wiele lat ten mały laszek powoli „dziczał” i stawał się podobny do naturalnego. Rosną w nim różne gatunki mchów i grzybów, nawet tych jadalnych (**kozak czerwony**).

Ogród szkolny by mógł spełniać swe zadania, musiał być uprzednio do tego odpowiednio przygotowany, gdyż szóstej klasy gleba nie nadawała się do właściwej uprawy. Do tego rodzaju prac przygotowani byli uczniowie klas starszych, którzy pracowali już wcześniej w ogrodzie szkolnym przy starej szkole podstawowej w Krajence. Uczestniczyli oni w różnego rodzaju konkursach przyrodniczych, m.in. w ogólnopolskim konkursie pt. „Organizacja i wykorzystanie hodowli i upraw w pracowni biologicznej, klasie – pracowni i na działce szkolnej”, w którym uzyskali IV miejsce na szczeblu centralnym.

Z pomocą przyszedł nam znów PGR. Przywieziono kilkanaście przyczep torfu leśnego i kilka przyczep obornika, oraz wapno nawozowe. Wszystkie te „komponenty” razem wymieszane i przykopane dały wspaniałe wyniki przy uprawie warzyw i innych roślin. Większą część ogrodu przeznaczyłem na uprawę warzyw, które uczniowie sprzedawali w stołówce szkolnej. Pozostałą część obsadziliśmy drzewami i krzewami owocowymi (**wiśnie, śliwy, jabłonie, porzeczka czarna, biała czerwona i jak na owe czasy nowość – aronia**) oraz wykonaliśmy „zieloną klasę”, która została obsadzona **winobluszczem pięciolistkowym i wiciokrzewem pomorskim**.

W tej klasie prowadziłem wiosną, latem i jesienią niektóre lekcje biologii. W 1984 roku wybudowaliśmy i zagospodarowaliśmy roślinami „oczko wodne”. Praca była ciężka, ale została zakończona sukcesem. Z braku pieniędzy na zakup specjalnych roślin wodnych, umieściliśmy w nim rośliny z rzeki – **knieć błotną, sitowie, tatarak zwyczajny, grzybień biały, grążel żółty i inne**. Kiedy na wiosnę następnego roku rozkwitły kwiaty, radość uczniów i rodziców była wielka, gdyż w Krajence był to pierwszy tego rodzaju obiekt w ogrodzie.



Oczko wodne: lata ok. 1985–1986 – dzieło uczniów klas starszych. W wodzie, knieć błotna (kaczeńce).



Oczko wodne, a w nim grzybień biały, grążel żółty, knieć błotna, sitowie i inne rośliny wodne.

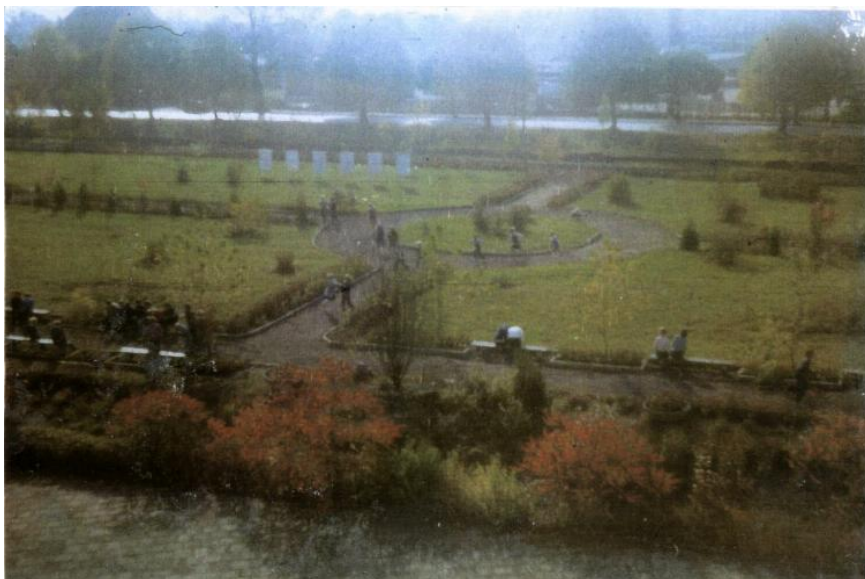


*Zielona
klasa*

*Oprócz warzyw, drzew i krzewów owocowych, oczka wodnego i zielonej klasy, uczniowie wykonali fontannę, a teren wokół obsadzili świerkiem srebrzystym oraz krzewinkami (**wrzos** zwyczajny, **pięciornik krzewiasty**).*



Na działce i w parku brakowało wody. Tutaj z pomocą przyszła dyrekcja szkoły. Uczniowie wykopali rowy, a hydraulicy zrobili resztę. Olbrzymie głazy wydobyte podczas rekultywacji terenu posłużyły nam do zrobienia skalników. Uczniowie klas ósmych dźwigali i układali je w różnych miejscach parku. Rośliny na skalniki (najczęściej byliny) przynosili z własnych domów.



*Opisując zagospodarowywanie parku muszę wspomnieć o tym, że w naszym ogrodzie szkolnym rosło 62 gatunki ziół, które sprowadziłem z Centrali Ogrodniczej w Bydgoszczy (Herbapol). Dla przykładu wymienię tylko kilka rodzajów: **ruta, szanta, lawenda, hyzop, ogórecznik, dziurawiec, koper włoski, szalwia, mięta i inne.***

Ziołowa działka od wiosny do jesieni tętniła życiem. Miejscowi pszczelarze, którzy ją widywali mówili mi, że jest to prawdziwa apteka dla pszczół.



Mała plantacja 64 gatunków ziół, których nasiona sprowadzono z Centrali Nasiennej „Herbapol” w Bydgoszczy.



Ławeczki wykonane przez uczniów.

W ten oto sposób mój projekt rekultywacji i zagospodarowania terenu przyszkolnego przy szkole podstawowej został zrealizowany w stu procentach. Myślę, że w pracy której się podjąłem miałem dużo szczęścia. W realizacji wspierali mieszkańcy Krajenki oraz władze miasta:

- Pani Teresa Kacperek, która była w tym czasie przewodniczącą Komitetu Rodzicielskiego oraz pełniła funkcję głównej księgowej w UMiG w Krajence. To ona podała pomysł, aby pieniądze przeznaczane miastu na tzw. „zadrzewianie” przeznaczyć na zakup roślin do szkolnego parku. To dzięki niej wysadziłem z młodzieżą tysiące sztuk, kilkudziesięciu gatunków drzew, krzewów i bylin sprowadzonych ze szkółki leśnej w Jastrowiu.

- Pan Władysław Szczerbiak – dyrektor PGR’u w Krajence oraz jego syn Janusz, ówczesny burmistrz Krajenki, późniejszy starosta powiatu złotowskiego i obecnie znów burmistrz Krajenki. To oni, jak wspominałem wcześniej, przy użyciu ciężkiego sprzętu pomagali przy pracach ziemnych i podlewaniu roślin. Oni zaopatrywali nas w sprzęt do pielęgnacji roślin, obornik i nawozy mineralne.

- Zakład Drzewny znajdujący się po przeciwległej stronie szkoły, którego kierownikiem był pan Piotr Kokowski, bez przerwy świadczył nam różne usługi. Pan Piotr, będąc wcześniej nauczycielem, dobrze znał problemy szkoły, więc zawsze spieszył nam z pomocą.

- Do pomnożenia roślin w naszym parku przyczynił się również Pan Grzegorz Warmbier, były kierownik produkcji roślinnej w PGR Krajenka.

Mijały miesiące i lata. Park zmieniał swój wygląd. Zazieleniły się trawniczki. W krzewach ozdobnych i koronach drzew zagnieździły się ptaki. Kwitnące drzewa, krzewy i byliny cieszyły i cieszą różnokolorowymi barwami oczy młodzieży szkolnej, odpoczywających tam mieszkańców Krajenki i przechodniów. Park tętni życiem.

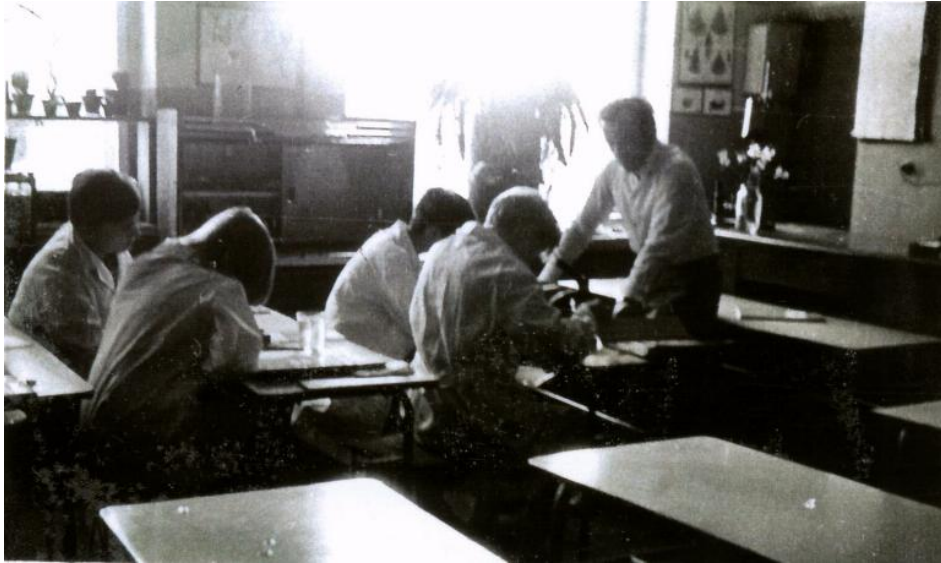
Prace uczniów nie ograniczały się jedynie do sadzenia i pielęgnacji roślin. Brali udział w różnego rodzaju konkursach, wykonywali i zawieszali budki lęgowe w parku i na drzewach rosnących nad rzeką Głomią, obsadzili sadzonkami setki hektarów lasu, upiększali roślinami miasto. Dziś zrehabilitowany teren nie przypomina niczym tego sprzed lat.

Krajenkę odwiedzają byli uczniowie mej szkoły. Dziś są to już ludzie dorośli, lecz z rozrzewnieniem i dumą wspominają czasy, kiedy jako dzieci upiększali roślinami teren swej szkoły. Pamiętają dobrze miejsca i rodzaj pracy którą wykonywali, pamiętają nazwy „swych” roślin, tych które sami posadzili. W parku szkolnym przepracowało setki młodzieży, która „poszła w świat”.

Jestem dumny z tego, że wiele z tych osób wybrało szkoły średnie, a później wyższe o profilach przyrodniczych.

Dla udokumentowania tego co napisałem zamieszczam wiele już archiwalnych i aktualnych zdjęć, z których część to zdjęcia odtworzone ze slajdów. Nie są one zdjęciami artystycznymi, gdyż jestem amatorem i używałem do ich wykonania zwykłego aparatu.

Zagospodarowując teren wokół szkoły, wszystkie prace wykonywały dzieci, poczynając od klas pierwszych, a kończąc na ósmych. Robiły to zawsze chętnie i z entuzjazmem. Wielu uczniów uczestniczyło w różnych konkursach przyrodniczych. W kółku biochemicznym poszerzali swe wiadomości i umiejętności. Trwający rok – rocznie od wielu lat konkurs na „Najlepiej pracujące szkolne koło w LOP” dawał możliwość udziału w nim całej młodzieży szkolnej. Ja ze swej strony starałem się wcielać w życie „przykazania” prof. Szafera.



Zajęcia podczas kółka biochemicznego

Jan Biela był cenionym pedagogiem, przekazywał uczniom nie tylko rzetelną wiedzę, ale зараżał ich swoimi pasjami. Wszelkie prace związane z zagospodarowaniem terenu wokół szkoły, pod kierunkiem Jana Bieli, wykonywały dzieci ze wszystkich klas (od pierwszych do ósmych). Wiele uczniów uczestniczyło w różnych konkursach przyrodniczych, a w kółku biologiczno-chemicznym poszerzali swoją wiedzę oraz rozwijali umiejętności.

Za pracę na rzecz ochrony środowiska oznaczony został Złotym Krzyżem Zasługi, dwukrotnie Złotą Odznaką Honorową Ligi Ochrony Przyrody, Odznaką Polskiego Związku Łowieckiego oraz Krzyżem Kawalerskim Orderu Odrodzenia Polski. Wielokrotnie przyznawane mu były nagrody Ministra oraz Kuratora Oświaty i Dyrektora Szkoły Podstawowej w Krajence.

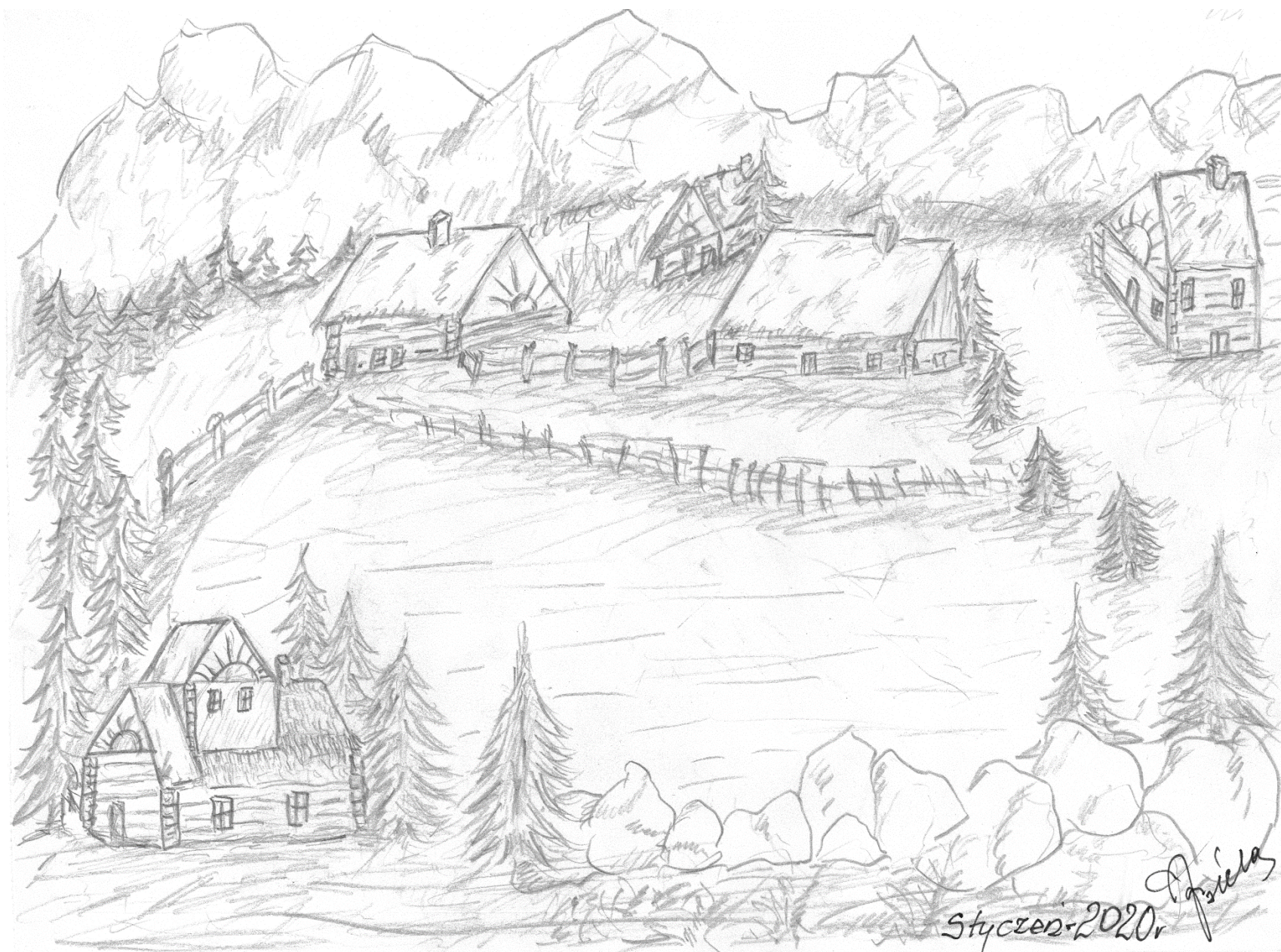
W 1986 roku odszedł na emeryturę. W Krajence mieszkał od 1958 do 2021 roku.

To tutaj rozwijał swoje pasje – oprócz ukochanej przyrody hodował rośliny na swojej działce.

W wolnych chwilach oddawał się swojej drugiej pasji – uwielbiał rysować i malować. Już jako mały chłopiec przejawiał zdolności artystyczne, ale los sprawił, że nie rozwijał swoich talentów pod okiem specjalistów – był samoukiem. Oprócz zdolności plastycznych miał również zdolności muzyczne – potrafił grać na instrumencie, nie znając żadnej nuty.

Poniżej kilka jego prac:



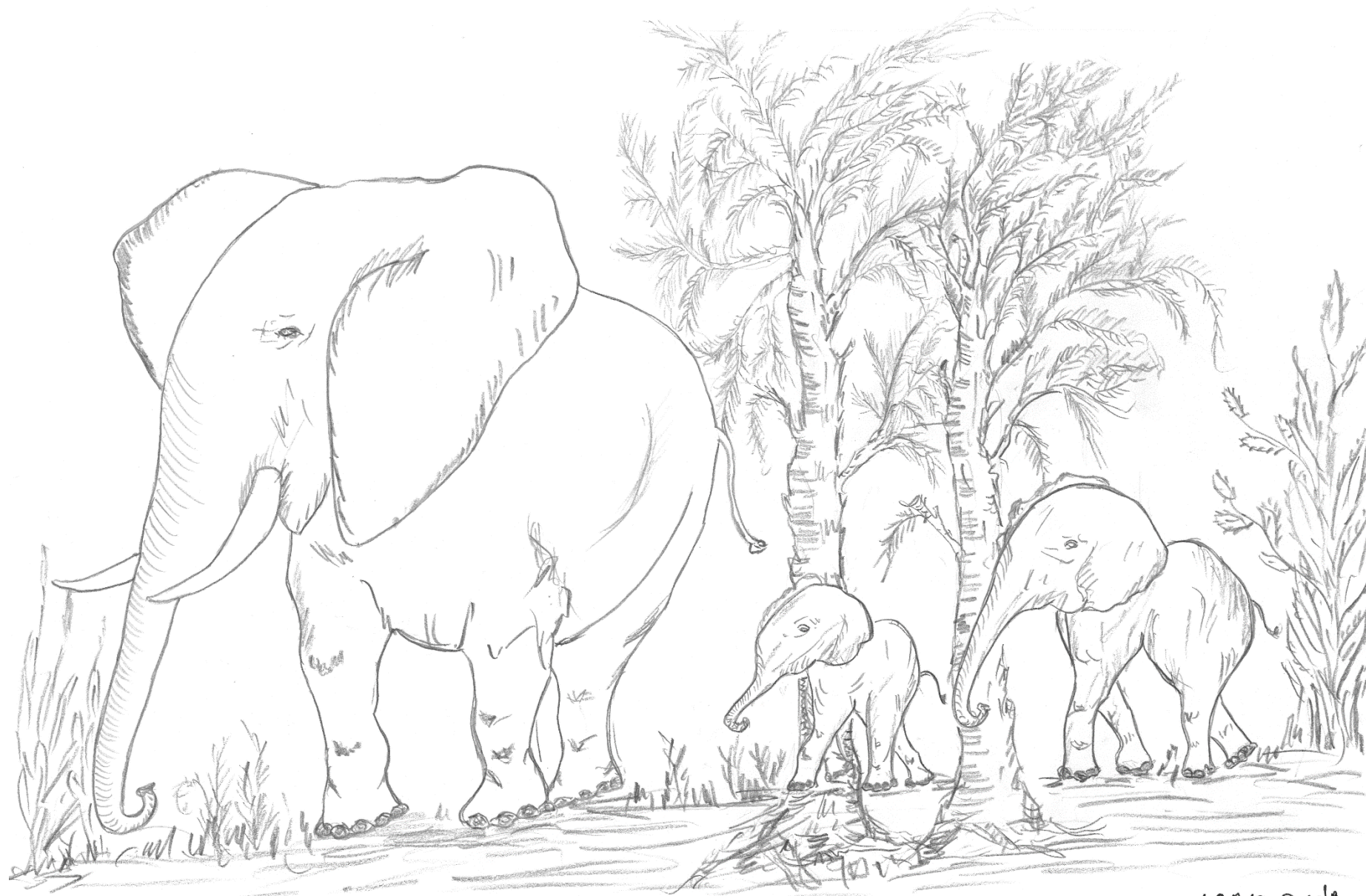




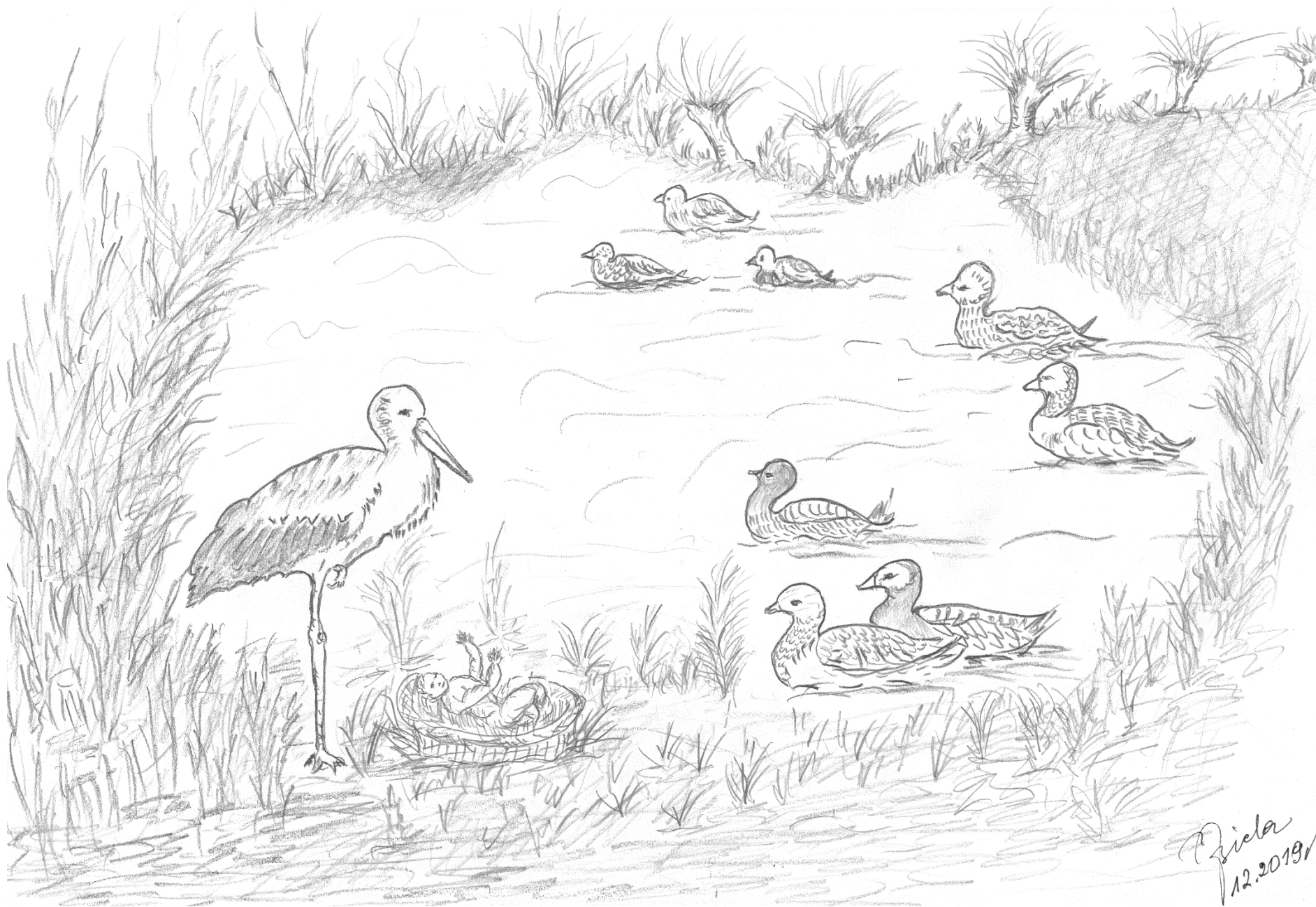
Jarek
lipiec 2019r



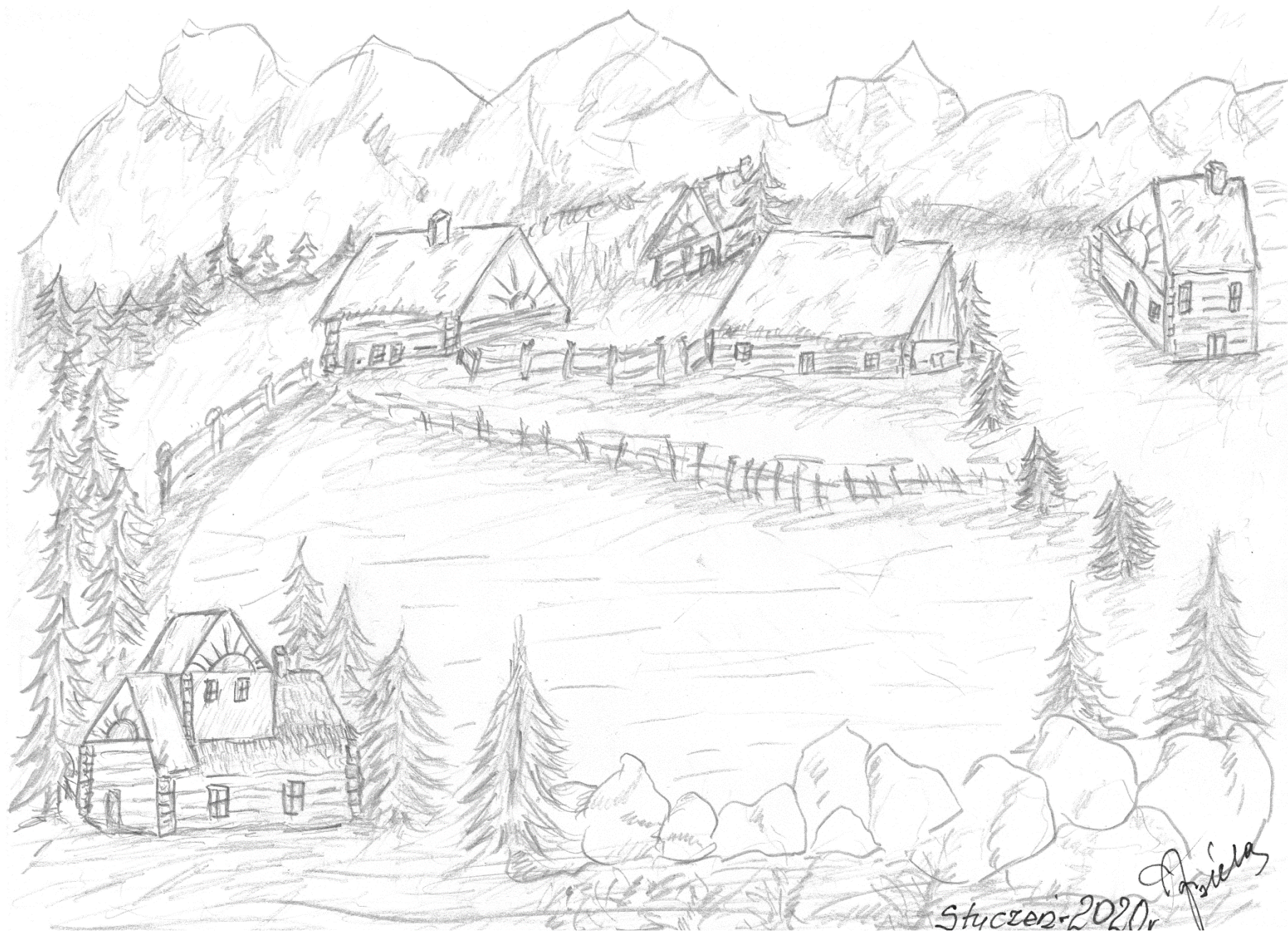




Listopad 2019, Jiel



P. Zieba
12.2019



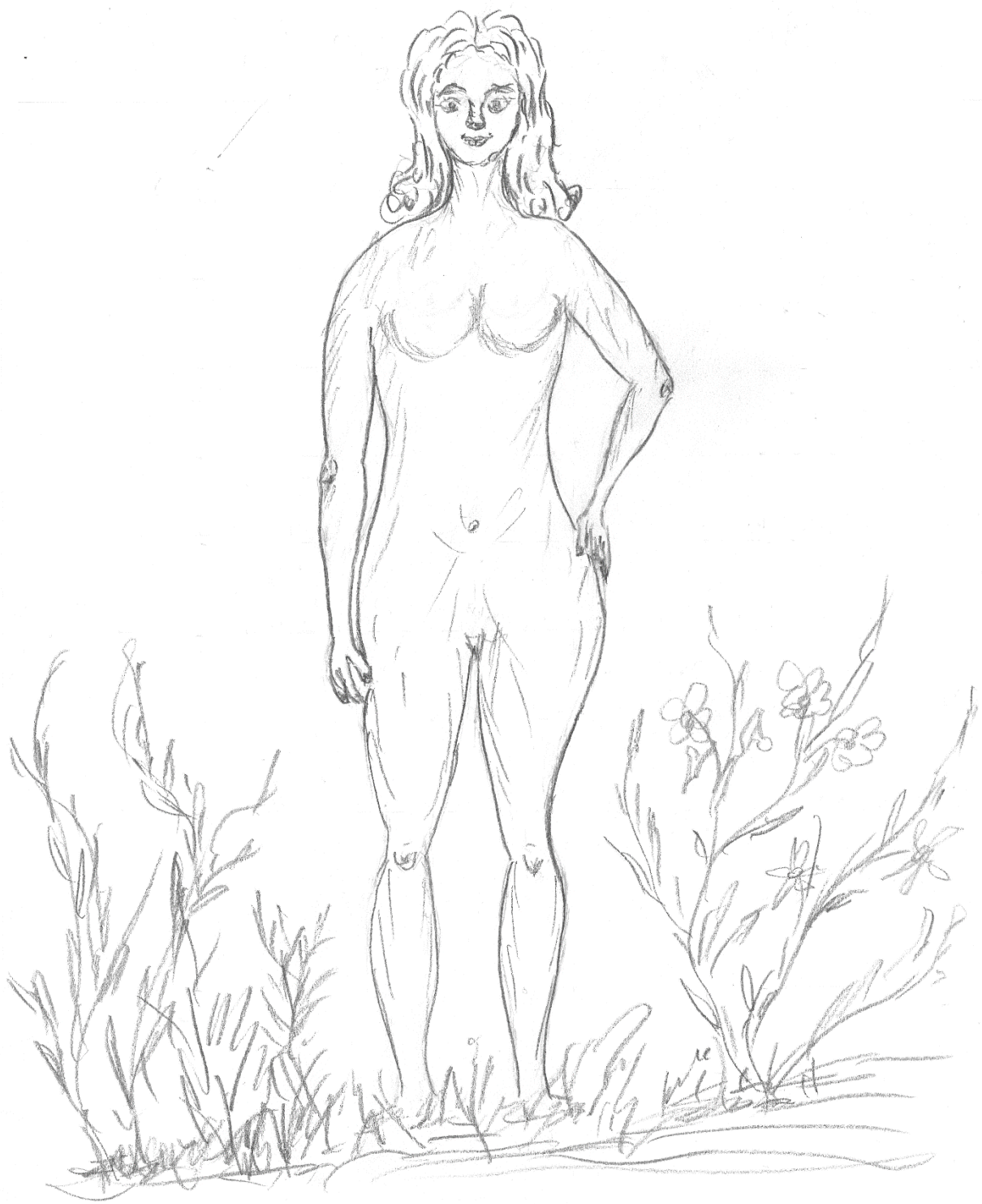




Piel

LIPIEC 2019





Fields
12.20.191.





Park nazwany imieniem Jana Bieli, stanowi hołd dla jego pracy i pamięci. Niech zawsze będzie miejscem refleksji oraz odpoczynku dla wszystkich odwiedzających.